

# Floreny aptekarza

Wiosna przyszła tego roku nagle. Czuło się ją bardziej po zapachu, niż patrząc na biedną zielenią łąk za domostwami. Dzień stał się już dłuższy i mieszcianie ze zdziwieniem spoglądali na wolno zachodzące słońce nad dachami Kargowej. Życie w tych dniach przenosiło się sprzed kominków i pieców na ławeczki pod domami i plac obok ratusza. Resztki tegorocznych śniegów pozsuwane w niekształtne, niskie sterty barwy brudnej ścierki, ostatnimi strużkami wydawały z siebie wody o nieokreślonym kolorze. Płynęły te ciekły między okrągłakami miejskiego bruku i znikwały albo w krzakach wewnątrz ogródków, albo w inny przedziwny sposób zapadały się pod ziemię. Bywało, że zatrzymywały się w zagłębieniach placu, tworząc malutkie jeziora z wyspami kamieni wystającymi nieregularnie z płaskiej tafli brudnej wody. Za ciepło już było na kożuchy, więc co zamożniejsi mieszcianie pozakładali na swe karki lżejsze czarne płaszcze z belgijskiego sukna. Częściej otwierano okna w niskich domach dla wypuszczenia do pokoi świeżego i trochę jeszcze wilgotnego powietrza. Kobiety czyściły małe szybki okienne z odpadającym z ram szarym kitem, wymagające już nagłej naprawy. Wiosenne deszcze nie dokuczały, a przebiśniegi pchały się do kwitnienia całymi kępami, odcinając się świeżą zielenią płaskich listków od jeszcze brązowawych zeszłorocznych traw. Uliczki były zdadne do spacerów, więc częściej widywano powolnym krokiem chodzących zażywnych kupców.

Ze sklepu mydlarskiego wyszedł powolnym krokiem niewysoki aptekarz w czarnym płaszczu i kapeluszu z króliczego filcu. Omijając kałuże, zakręcał nieoczekiwanie w różne strony, aby swoich wysokich trzewików nie pomoczyć. Buty miał zawsze wypastowane i suknem przetarte dla połyску.

Aptekarz Beniamin miał zwyczaj kupować w mydlarni kawałki pachnącego mydła. Sam je najpierw wąchał i przebierał w skrzynce, później upatrzoną kostkę owiniętą w szary papier wkładał do kieszeni i – po grzecznościowych zwrotach wypowiedzianych do młodej sprzedawczynie – wychodził.

Zauważył nagle, że to już zima się skończyła, czego do tej pory nie dostrzegał. Zgiął łokieć, spojrzął na rękaw i dopiero do niego dotarło, że gospośka podała mu do ubrania płaszc, a nie, jak od miesięcy, brązowy kożuszek. Szedł do swojej apteki, rozmyślając teraz bardziej nad wiosną, która go zaskoczyła, niż nad omijanymi kałużami.

Jego kawalerski żywot płynął monotonnie i bez większych wzruszeń. A tu nagle ta wiosna, nad którą rozmyślał już długą chwilę w czasie powrotu.

Wszedł przez oszklone drzwi ozdobione piaskowanymi wzorami. Nad apteczną mensą stał jego pomocnik z drucianymi okularkami zsuniętymi na koniec grubego nosa, ubrany w szarawy kitel. Za jego plecami wyższe półki wypełnione były fajansowymi słojami z łacińskimi napisami w sinym kolorze. Poniżej butle z brązowego szkła i mniejsze, przezroczyste flakony pełne destylatów o mało atrakcyjnych barwach. Maści, zioła i proszki powkładane były w niekończących się rzędach małych szufladek opatrzonych owalnymi porcelankami z czerwonymi i czarnymi literami angielskiego pokroju. Powietrze przepełnione mieszaniną kamfory, alkoholu i tranu

uderzało za każdym razem w nozdrza wchodzącego Beniamina, rozpraszając jego myśli czasem odległe od aptecznych spraw. Wracał prędko do rzeczywistości i brał się do nałożonych na każdy dzień obowiązków.

Stanął przed wieszakiem w pracowni, zdjął palto i spojrzał na stół laboratoryjny ze stojącą na nim szklaną aparaturą do ekstrakcji, gdzie miał zwyczaj umieszczać na statywie recepty i zapiski o ważnych sprawach. Na jednej karteczce miał zapisany i podkreślony czerwonym atramentem – wtorek. Tak, pomyślał – to przecież dzisiaj gramy partyjkę.

Pomaszerował przez salon do kuchni i mówił gospodyni o wieczornym spotkaniu. Zalecił, co ma być przygotowane do jedzenia i picia na dzisiejszy wieczór. Zorientował się jednak, że kobieta doskonale wie, co ma robić i dostrzegł w jej ciepłych oczach pobłażliwy wyrzut. Gospodyni z litościwym uśmiechem pokiwiała głową, a Beniamin skinął powoli ręką i wyszedł nieco zakłopotany. Przypomniało mu się, że przecież wczoraj to wszystko już omówił.

Siódma wieczorem nadeszła szybko. Pierwszy pojawił się organista. Trochę zziębnięty, w rozpiętym palcie, czerwony na twarzy od wiosennego chłodu. Rzucił okrycie na oparcie krzesła i ustawił się plecami do ciepłego pieca obecnego od zawsze w rogu salonu. Pysznący się ozdobnymi kafłami piec z duchówką zamykaną żeliwnymi, ażurowymi drzwiczkami był ozdobą pokoju. Ci, którzy po raz pierwszy stawali przed nim, oglądali ukradkiem kuso ubrane nimfy tańczące pośrodku drzwiczek. Później i tak odwracano się i grzano plecy zdrowym ciepłem przenikającym od szklawionych kafli. Nad paleniskiem widać było czarne smużki po dymie, lekko uchodzącym przy rozpalaniu, które wycierali surdutami grzejący się goście, po oglądnięciu roztańczonych, żeliwnych postaci. Cała ta zduńska budowla zwieńczona była antyczną nastawą w kolorze trawiastej zieleni, na którą i tak mało kto zwracał uwagę, zajęty zazwyczaj drzwiczkami.

Kuranty z szafkowego zegara odegrały całą frazę z zapomnianej opery i do pokoju wszedł miejscowy złotnik Ludwik, jakby ledwo co oderwany od swojej kuli grawerskiej. Taszczył w ręce sfatygowaną, skórzaną torbę z narzędziami. Właściwie to nikt nie wiedział czemu chadzał z tym rzemieślniczym bagażem. Była tam zapakowana waga szalkowa z powykręcany cybantem i z malutkimi ćwierćuncyjowymi odważnikami w drewnianej szkatułce i chyba kopa innych instrumentów. Przy stawianiu tego niecodziennego ładunku zawsze dzwoniły stalowe rygle i cęgi z polerowanej stali.

Trzej gracze siedli do nakrytego aksamitem stołu. Jednak zamiast zająć się tasowaniem talii zaczęli od pachnącej kawy i przygotowanego poczęstunku. W takich wypadkach chodziło raczej nie o posiłek, ale o tę niezwykłą atrakcję, która następowała przed partyjką.

Na blacie dębowego kredensu, zajmującego dużą część pokoju, z przeszkloną nastawą wypełnioną fajansem zdobionym wzorami siniego ornamentu, stała wysoka klatka z mosiężnych drucików. Hodował w niej gospodarz czarnego kosa z żółtymi paskami dookoła oczu. Ptak był usposobiony spokojnie i nie dawał niepotrzebnie znać o sobie obecnym. Siedział na zawieszanej w połowie klatki mahoniowej huśtawce i to jednym, to drugim oczkiem przyglądał się graczom przy stole. Beniamin tylko czasem wypuszczał kosa. A były to okoliczności dość osobliwe. Goście, jedząc drożdżowe ciasta poukładane na srebrnej tacy z misternym filigranem, pozostawiali jakieś okruszki na ciemnym obrusie – podobno przypadkiem. Wtedy to właśnie kos, którego nazywano kurką, był wypuszczany prosto na stół. Biegał ochoczo po aksamicie, wprawnie wydzióbując to, co pozostało z poczęstunku. Aptekarz po takim popisie oceniając, że porządki zostały już zrobione, delikatnie zaganiał dłonią kurkę do ustawionej na końcu stołu klatki. Kos posłusznie w ptasich podskokach kierował się we właściwą stronę i wszedłszy do klatki, wskakiwał na huśtawkę. Beniamin dumnie zamykał drzwiczki na esowaty haczyk i odstawiał mosiężne mieszkanie na kredens. Na stole było posprzątane.

Rozdano wreszcie do pierwszej partyjki podłużne karty z czerwonymi dzwoneczkami. Złotnikowi jakoś wypadła na stół jedna karta z dziewięcioma sercami i wyrysowaną wieżą z Lipska. Nie przeszkodziło to jednak w rozpoczętej grze.

Zaczęli rozprawiać mimochodem o tym, ile postawią w karcianym banku. Stawiano zwyczajnie jakieś marne miedziaki, ale bywało, że w hazardowym zapale ktoś kładł drobną srebrną monetę. Dzisiaj jednak chyba wiosna dodała animuszu graczom, bo zaczęli mówić o złotych florenach. Podgadywał organista i wtórował mu w tym złotnik Ludwik. Wszyscy dobrze wiedzieli o czarnej szkatułce aptekarza, który gromadził w niej rzadkie okazy weneckich florenów. Owa szkatułka, wykończona czarną laką z japońskim znakiem, była mistycznym

przedmiotem, którego istnienia wielu się tylko domyślało. Zbiór ten, choć prawie nikt go nie widział, uchodził za niespotykany skarb ciągle powiększany przez aptekarza. Czasem wyjeżdżał Beniamin pospiesznie do Poznania po otrzymaniu jakiegoś tajemniczego listu w szarej kopercie z okrągłym stemplem. Spekulowano wtedy tylko, że jeździ koleją po następną monetę, o której donosił mu zaufany antykwaryusz z poznańskiego rynku. Powroty były już spokojniejsze i przez kilka następnych dni Beniamin chadzał przez rynek wyraźnie zadowolonym krokiem.

Niby to żartem zaproponowano postawienie kilku florenów do karcianego banku. Aptekarz się zaczerwienił, poprawił halsztuk i powiedział, że żadnych florenów nie postawi. A jak ktoś chce je przeliczyć, to będzie mógł to sobie zrobić, jak je znajdzie. Zapalił się tak do tej myśli i dał słowo, że codziennie będzie koło nich chodził chętny do liczenia i patrzył na nie, a znaleźć i tak ich nie znajdzie. „Tak jak w przysłowiu, tym o stojącym po kolana w wodzie i proszącym pić” – dodał ściszym już głosem aptekarz, spoglądając kolejno na karcianych przeciwników.

W pokoju zrobiło się jakoś dziwnie. Rozmowa przestała się kleić, tematy uciekały i wyglądało to już na przedczesny finał wieczornej partyjki. Myślano już tylko o błyszczących florenach aptekarza i jego niespodziewanej deklaracji. A że był człowiekiem bardzo słownym, to pewnym już było, że wykona wypowiedziany zamiar.

Przy rozstaniu Beniamin jeszcze dodał, że floreny nie będą schowane w domu, a na zewnątrz. I więcej już się nie odezwał tego wieczora. Podawał tylko bezwiednie dłoń wychodzącym, a na jego twarzy pojawiło się chytre zadumanie zawziętego kolekcjonera, górującego intelektem nad dyletantami.

Tej nocy długo było widać w oknie na piętrze apteki światło i ruchomy cień przechadzającego się miarowym krokiem Beniamina. Nad ranem jadący furmankami na targ chłopcy spostrzegli aptekarza biegnącego przez rynek w stronę kościoła. A służka z domu obok ratusza, myjąca schody wodą z dobrymi jeszcze mydlinami od wieczornego prania, opowiadała, że aptekarz kręcił się pod rusztowaniem stojącym przy wieży świątyni.

Wiadomość o zapowiedzi aptekarza przy kartach rozeszła się nie wiadomo jakimi sposobami po mieście. W każdym razie na jarmarku już po tygodniu wymyślano, gdzie to aptekarz mógł schować złote floreny. Wersje były niekiedy oszałamiające. Opowiadano o kościelnych skarbankach, chrzcielnicy, stopach putta w ołtarzu i zakopaniu pod miejskim brukiem. Była też opowieść o zamurowaniu florenów w ścianie kościoła. Niektórzy kramarze handlujący pod ratuszem, ukradkiem opukiwali kościelne mury małymi młoteczkami, nasłuchując jakiegoś głuchego echa wydawanego przez spodziewaną pustkę między cegłami.

Roku trzeba było, żeby emocje opadły w mieście i zapomniano o całym zamieszaniu.

Wieża kościelna po wymalowaniu błyszczała nowością, a rusztowanie zniknęło rozebrane przez malarzy. Jedyne teraz aptekarz Beniamin częściej przechadzał się obok odnowionej wieży i patrzył w górę na jej wyżłoczoną puszkę pod krzyżem.

Po kilku latach jesień całymi tygodniami trzymała złote liście klonów na gałęziach. Można było też do woli napaść czy mieniącymi się łagodnym słońcu, karminowymi blaszkami kołyszącymi się na rozłożystych gałęziach szpaleru czerwonych dębów obok drogi na cmentarzyk za miastem. Trzmieliny nad rowami pokazywały pomarańczowe owoce otoczone pootwieranymi łuskami w czerwonym kolorze. Nie brakło też dorodnych kasztanów powkładanych w kolczaste futerały, walających się pod drzewami, których dzieci nie nadażały zbierać do tworzonych zastępów ludzików z zapalczanymi nóżkami. Taką porą aptekarz Beniamin zmarł nagle, nie zostawivszy ani spadkobiercy, ani testamentu. Dalecy krewni przeszukali, jak to w takich razach bywa, dokładnie całą aptekę, od suszarni ziół na strychu, po śmietnik z drzwiczkami obitymi cynkową blachą wystawiony na podwórku i nie natrafili na żadnego złotego florena, nie kryjąc nawet już na stypie niezadowolonia. Żałobnicy z rodziny siedzieli przy stole zastawionym obficie i chytrze spoglądali na siebie, wzajemnie podejrzewając się o to, że któryś dopadł do florenów i po cichu zabrał złoto tylko dla siebie.

Krewni rozjechali się do siebie bez pożegnań, dając tym powody do plotek na swój temat miejscowym matrom stojącym na odwiecznej straży moralnego porządku w mieście. Wtedy to powróciły opowieści o skarbie i zapowiedzi jego ukrycia w widocznym miejscu.

Stójkowy z posterunku, po tych zdarzeniach, nąprędce zrobił nielegalne dochodzenie i dowiedział się, że widziano w ten pamiętny wtorkowy wieczór, po wyjściu graczy z apteki, Beniamina schodzącego

z rusztowania przy wieży. Opowiadający to stójkowemu zajadły pijak twierdził, że przed zejściem aptekarz coś podobno majstrował koło puszek pod krzyżem nad hełmem wieży. Przepytał też jednego starego organistę, który opowiadał, że spostrzegł w parafialnych księgach na koszulce okładki zapisane soki z cytryny, ledwo dostrzegalne wykazy jakichś przedmiotów z łacińskim słowem *aurum*, które jakoby były w kolekcji Beniamina. Na uprzejme prośby stójkowego proboszcz jednak nie zezwolił na wertowanie ksiąg kościelnych. I całe śledztwo zakończyło się tylko powstaniem nowych domysłów opowiadanych przy towarzyskich spotkaniach w salonikach kargowskich kupców.

Nikt jednak do tej puszeki jeszcze nie zajrzał. Bo nie wypadało pijakowi wierzyć i wchodzić tak wysoko, ryzykując upadkiem. Chociaż jednemu czeladnikowi kominiarskiemu, przed laty, zachciało się tam dostać po trzech kuflach grodziskiego piwa. Jednak poślizgnął się na gładkiej i mokrej od wieczornej mżawki blasze hełmu wieżowego i spadł na kościelny dach, ledwo zachowując życie. Kiedy pytano go, po co tam włąził, pokazywał tylko bliznę po złamaniu na lewej nodze i nic opowiadać nie chciał na temat swojej wyprawy. Za ten wyczyn musiał też sporo zapłacić, bo porozbijał wiele dachówek kościelnych, które dekarze wymieniali po nieszczęsnym upadku. Przewano go za to „złota sadza”, a gromada dzieciaków biegała za nim z wrzaskiem, gdy chodził przez rynek z drabinką kominiarską na ramieniu.

Wiadomość o kolejnej wojnie nadeszła do miasta niespodziewanie i włąła się nie tylko w rozmowy, ale zaplątała w myślach mieszkańców. Rozmawiano o militarnych sprawach, batalionach przechodzących piechurów, bitwach tych toczących się naprawdę i tych, o których paru rezerwistom się tylko wydawało, że były. W tym czasie pamięć o florenach w świadomości zatarła się zupełnie, przygnieciona wojennymi wydarzeniami i listami przychodzącymi z frontu o zaginionych i zabitych. Nawet dziecięce zabawy w poszukiwaczy aptekarskiego skarbu, z podobno prawdziwymi za każdym razem mapami, przestały być ulubionym popołudniowym zajęciem gimnazjalistów. Bawiono się już tylko w partyzantów i rozstrzeliwanie złapanych szpiegów wrogiego mocarstwa.

(Wyróżnienie w X Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. E. Paukszy w Kargowej.)